

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

11 (Ciąg dalszy)

— A więc musimy ptaszka szukać gdzieś — ozwał się inspektor, który, słysząc tyle pochwał o zaletach Johnsona, nabrał przekonania, że z nim już sprawa skończona i że się nim dłużej zajmować nie warto. — Na razie chciał się jeno w jakiś chytry sposób dowiedzieć, czy pułkownik Desmond rzeczywiście sam, we własnej osobie, nie wiadomo zresztą z jakich powodów, zastawił papierośnicę u Sibleya. Pułkownik siedział przy nim; płaszcz miał rozpięty; z kieszeni kamizelki zwieszał się piękny łańcuszek od zegarka. Tej okoliczności postanowił więc użyć jako punktu wyjścia.

— Najważniejszą, jak na teraz, rzeczą — ozwał się — jest wykrycie fałszerza kwitu. Jeżeli jego znajdziemy, wtedy i papierośnica się znajdzie, jeśli ona wogóle jeszcze istnieje. Na to potrzeba jednak czasu, a nie da się oznaczyć, jak długo to potrwa. Nie chcę pana dłużej zatrzymywać, już późno.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni swój zegarek i przyłożył do ucha.

— Może pan wie dokładnie, która teraz godzina — zapytał — bo zdaje mi się, że mój zegarek się popsul.

Pułkownik wyjął z pewną dumą swój zegarek z kieszeni. Właściciel takiego kosztownego przedmiotu mógł być snadnie dumny z posiadania go. Nie tylko bowiem mechanizm zegarka był skonstruowany według najnowszych systemów, ale zewnętrzna strona przykuwała poprostu oczy swą wspaniałością i doborem kosztowności, ugrupowanych tam iscie po mistrzowsku. Dyamenty, rubiny, szmaragdy, lśniły się jasnymi promieniami na obu pokrywach.

Inspektor poznał ten zegarek na pierwszy rzut oka. Był to ten sam, o którym Sibley tak długo i szeroko opowiadał Ślimakowi. Już Sibley zwrócił uwagę na to, że przecież pan, posiadający taki zegarek, nie potrzebuje zastawiać papierośnicy za marne pięć dolarów.

A więc to był sam pułkownik i on sam zastawił papierośnicę. Więc to on pojechał w nocy do Hanier'a, aby odeń tę papierośnicę wydostać. Więc kobieta, od której ją Hanier na kolendę otrzymał, była żoną pułkownika. Przedewszystkiem należało więc teraz zbadać, jakie stosunki łączyły Hanier'a z Desmondami. Bo że zamordowanie Hanier'a pozostawało z tem w związku, to już nie ulegało wątpliwości. Ślimak był więc mimo wszystko na właściwej drodze.

Dlaczego więc pułkownik przykładał taką wartość do tej papierośnicy i który z nieprzyjaciół tak zręcznie mu ją sprzątnął — odpowiedź na to miała dla inspektora podrzędne znaczenie. Tu chodziło głównie o stwierdzenie, czy podejrzenie o zamordowanie Bogu ducha winnego Hanier'a, miało paść na bogatego i poważanego pułkownika, czy też należało przypuścić, że on nie był może mordercą, ale pośrednim sprawcą jego śmierci.

O ile jednak należało się upewnić, czy pułkownik rzeczywiście zasługuje na śmierć z ręki kata, o tyle trzeba się było postarać, aby on nawet na chwilę nie przypuszczał, że nad jego głową ciąży ręka sprawiedliwości. Jeżeli mu się bowiem zostawi zupełną wolność, to przecież tak czy owak, prędzej czy później, musi on wpaść w tę sieć, jaką nań zastawiono. Wtedy odkryje się jego współników, pozna się cel jego postępowania, przejrzy się wszystkie tajniki jego dawnego życia.

Kiedy pułkownik powstał, zabierając się do wyjścia, pozwolił sobie inspektor raz jeszcze zagrać na jego nerwach i to nie bez skutku.

— Zanim pan pójdzie — rzekł — chciałbym się jeszcze przekonać, czy wszystkie daty dobrze sobie zapamiętałem. Nieprawda, mówiłeś pan, że papierośnica miała być zastawioną trzydziestego grudnia?

— Trzydziestego pierwszego, o ile wiem. Trzydziestego było w niedzielę.

— Racya! Racya! Wymieniłem „trzydziestego“ niechcący, a to z tej przyczyny, bo data ta przypomina mi jedno niemniej ważne zdarzenie.

— Tak?

— Bo, widzi pan, w nocy tego dnia zamordowano Ludwika Hanier'a. Musiał pan o tem słyszeć!

Pułkownikowi wypadła z ręki rękawiczka. Schylił się więc, aby ją podnieść.

— Tak, tak! Przypominam sobie — a to właśnie było jakoś w tym czasie. Znałem tego człowieka. Jednak za dużo panu czasu zajmuje. Moje uszanowanie!

— Ja się tam do pana zgłoszę — rzekł inspektor, otwierając drzwi — tymczasem — do widzenia!

W godzinę później przybył do gabinetu inspektora Ślimak i dowiedział się o całej rozmowie swego szefa z Johnsonem i pułkownikiem. Obydwaj poczęli się teraz naradzać, w jaki sposób mają się zabrać do wyświeślenia tej sprawy.

— Droga, którą pan obrałeś — rzekł inspektor — jest według mego zdania najwłaściwszą, ale do tej chwili nie mamy w ręku nic pewnego. Musimy się cofnąć nieco wstecz, do czasu, kiedy Hanier był u Desmondów w służbie; trzeba się będzie od służby pułkownikostwa dowiedzieć, na jakiej stopie żył on ze swymi chlebodawcami. Zajęcie jego u pułkownika było przecież i przyjemne i lekkie, a jednak on je porzucił. A więc trzeba zbadać, czy on sam podziękował, czy też go odprawiono. Dalej potrzeba nam dokładnych wiadomości o trybie życia pułkownika, o jego przyzwyczajeniach i znajomościach. Nawet pańskie pierwsze przypuszczenie, że tu wchodzi w grę jakieś tajne stowarzyszenie, zaczyna obecnie nabierać cech prawdopodobieństwa. Pewne odkrycie, uczynione przeze mnie na papierośnicy, pozwala nam nawet na pewne brać w rachubę i tajne stowarzyszenie.

— Ciekawy jestem, jakie, panie inspektorze — zawołał żywo Ślimak.

Inspektor wyjął papierośnicę z szuflady i otworzył ją.

— Patrz pan — rzekł — tu jest niewidoczna prawie sprężynka. Jeśli się ją pociśnie, o tak, to wyskakuje ta oto skrytka — ona jest próżna, ale prawdopodobnie musiało w niej coś być, na przykład skrawek papieru. Ten właśnie skrawek mógł mieć dla właściciela papierośnicy ogromne znaczenie. Przypuśćmy, że pułkownik ze względów bezpieczeństwa włożył go do skrytki. Miss Desmond, nie przypuszczając, aby mężowi jej zależało cokolwiek na takiej papierośnicy, podarowała ją Hanier'owi. Pułkownik spostrzegł jej brak, robi awanturę, dowiaduje się prawdy i krytycznej nocy udaje się wraz z żoną do domu Hanier'a, aby papierośnicę wydostać. Otrzymuje ją — i tej samej nocy Hanier ginie, czy to z ręki pułkownika, czy jego współników, tego na razie nie wiemy. W poniedziałek Desmond papierośnicę zastawia...

— Ale, jak pan sądzi, zapytał Ślimak — czy w skrytce tej był papier, kiedy papierośnica poszła do zastawu.

— Nie wątpię — odparł inspektor.

— Więc dlaczego ją zastawiał?

— Właśnie z tej przyczyny.

— Nie rozumiem.

— Pułkownik chciał papierośnicę ulokować w takim miejscu, gdzieby prócz niego nikt nie miał do niej przystępu. Lombard wydał mu się miejscem najbezpieczniejszym. Doświadczenie nauczyło go, że w domu, u siebie, nie może liczyć na zupełne bezpieczeństwo; w lombardzie zaś mogła jej poszukiwać jedynie policja, co zresztą należało do niemożliwości prawie. Bo przecież, jak pan wiesz, my sami wpadliśmy na jej ślad jedynie dzięki przypadkowi.

— Bardzo słusznie — zauważył Ślimak — jestem przekonany, że pan ma rację.

— Tak samo przypadek mógł dopomóc nieznanemu fałszerzowi. W jaki sposób wiedział on właściwy numer kwitu? Może był razem z pułkownikiem w lombardzie. Mógł aż do lombardu iść za nim.

— Bardzo możliwe — mruknął Ślimak.

— Jeżeli równocześnie z nim był w lombardzie, to musi się znaleźć ślad tego. Idź pan do Sibleya i dowiedz się, jakie przedmioty zastawiono bezpośrednio przed i po zastawieniu papierośnicy. Zanotuj pan sobie adresy i nazwiska zastawiających i dowiedz się pan coś o nich. Jeden z nich musi być fałszerzem. Jeżeli jego złapiemy, to on nam udzieli trochę szczegółów o Desmondzie.

— Tylko, według wszelkiego prawdopodobieństwa — zauważył Ślimak — człowiek, którego szukamy, podał i fałszywe nazwisko i fałszywy adres.

— Możliwe, ale przecież może nam się uda wpaść na jego trop. Właściciel rewolweru z białą ręką podał również nazwisko i adres fałszywie, a jednak wiemy, kto on jest i możemy go prędzej czy później ująć.

— Na wiele nam się to wtedy nie przyda.

— Tego powiedzieć nie można. Do tej chwili

nie wiemy nic pewnego. Wprawdzie mamy podejrzenie na pułkownika Desmonda, ale możliwem jest, że okaże się ono fałszywe. Bo nawet, choć on mógł wiedzieć o morderstwie, to jednak twierdzić nie można, że on je popełnił. Może on miał jakich współników, a jeden z nich przywłaszczył sobie papierośnicę, aby tym sposobem mieć w swych rękach pułkownika, jako pośredniego sprawcę mordu. W każdym jednak razie ten współnik wiedział o tajemnej skrytce w papierośnicy i wyjął z niej jej zawartość.

Ślimak tarł ręce ze wzruszenia.

— Toby było interesujące! — powtarzał z uniesieniem. Sprawa ta, wnikająca się coraz bardziej, podniecała go ogromnie.

— Uderzył mnie jeden szczegół w zeznaniach Roberta Johnsona — rzekł inspektor po chwili milczenia — opis człowieka, który mu miał dać na balu papierośnicę, zgadza się prawie w zupełności z rysopisem mężczyzny, który 31 grudnia papierośnicę u Sibleya zastawił. W ogólności można by wedle tych sprawozdań uważać pułkownika Desmonda za tego, który był wówczas u Sibleya. Ale Johnson nie myślał z pewnością o pułkowniku, bo go zna dobrze i żyje z nim w zgodzie. Ostatecznie mogłoby wyjść na jaw, że pułkownik absolutnie sam papierośnicy nie zastawiał.

— Albo że Johnson łgał — ozwał się Ślimak.

— Jak dotychczas wszystkie jego zeznania się potwierdziły — odparł inspektor — ale zresztą zobaczymy.

Rozmowa trwała jeszcze z pół godziny, wreszcie Ślimak pożegnał się z inspektorem i wyszedł.

ROZDZIAŁ XV.

Męty nowojorskie.

Z zachodem słońca temperatura znacznie się oziębiła. Zanosilo się na silny mróz. Zamożniejszy Nowy Jork grzał się przy kominkach; arystokratyczny Nowy Jork ołsniewał sale opery i teatrów; głodny Nowy Jork siedział przy piecach restauracyjnych nor; męty zaś i szumowiny nowojorskie rozbiły się wśród pijatyk i bijatyk w najrozmaitszych spelunkach. Były pewne okręgi, gdzie wszystkie te elementy ze sobą się skupiały. Im bardziej noc zapadała, tem niespokojniej było na oddalonych ulicach, na których mimo zimna i mrozu roiło się od podejrzanych postaci.

Niebo czyste lśniło się miliardem gwiazd, które niby oczy aniołów, migotały na firmamencie. Blask ich nikł jednak w porównaniu z elektrycznym światłem, które białą falą rozlewało się po ulicach.

W bramie jednego z przedmiejskich domów stał z cygarem w ustach jakiś człowiek, w głębokiem zatopiony w zamyśleniu. Dla niego nie było w całym Nowym Jorku nic szczególnie ciekawego, bo nikt nie znał tak dobrze, jak on, mieszkańców Ameryki, ich nawyknień, sposobu życia i nałogów. Niedaleko od niego chodził po ulicy tam i z powrotem jakiś wagabunda, rzucając oczyma na wszystkie strony. Był to znany już Czytelnikom z poprzedniego opowiadania Muggins.

Naraz zbliżył się Muggins do owego pana, stojącego w bramie, pociągnął go za rękaw i szepnął:

— Tam jest, panie inspektorze, tam jest ten człowiek, którego pan szuka, Mike Gloin!

Mówiąc to, wskazywał ręką człowieka, który właśnie przeciskał się przez tłum nocnych ptaków, wyrzuconych z pobliskiej szynkowni.

Inspektor otrząsł się z zamyślenia i spojrzał we wskazanym kierunku.

Zobaczył młodego jeszcze chłopaka, na którego twarzy odbijało się zezwiercenie i rozbewnienie. Oblicze jego poorane było zmarszczkami i robiło bardzo niekorzystne wrażenie.

Idąc, rozglądał się śmiało naokół, tak, że można w nim było odrazu rozpoznać szczwanego rzezimieszka.

Inspektor rzucił kawałek niedopalonego cygara na ziemię i wyszedł na środek ulicy, postępując za Mikem Gloin. Kawałek od nich szedł Muggins.

Była godzina jedenasta. Wiatr był prężny, mróz zwiększał się z każdą chwilą; Mike Gloin z rękoma w kieszeniach szedł rażno, skręcił w boczną ulicę i wstąpił do szynku rozbrzmiewającego właśnie wrzawą i gwarem. Była to jedna z najgorszych nor, jakie wogóle są w Nowym Jorku, a towarzystwo, jakie się tam znajdowało, składało się wyłącznie z szumowin wielkomiejskich najgorszego gatunku.

Nowy przybysz był tam widocznie znaną dobrze osobistością, bo przywitano go hucznie i wesóło. Mike Gloin zaś podszedł do szynkfasu, wypił parę szklanek wódki i począł kpić z tych, którzy